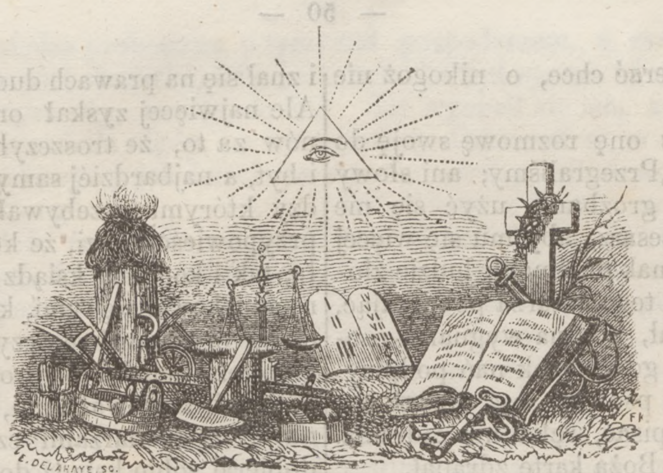
№ 7.

WARSZAWA

16 Lutego

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: *Święty Bazyli Ojciec Kościoła.— O Grzegorzu Szymańskim (wspomnienie).— Gawęda warsztatowa: O spółce Tellus w Poznańskiém.— Różności: Przyjazd Arcybiskupa, Pisma ludowe po karczmach.*

Święty Bazyli Ojciec Kościoła.

(Urodził się 329 r. Umarł 379 r.)

Ksiądz Piotr Skarga, jeden z najsławniejszych kaznodziei jakich Polska wydała, dawno już temu napisał dwie wielkie księgi, w których są żywoty Świętych Pańskich opowiedziane, dzień za dniem przez cały rok, tak jak w kalendarzu z kolei uroczystość świętego przypada. Bardzo to szacowne dzieło te Żywoty Świętych księdza Skargi i warto żeby je każdy czytywał, że jednak nie wszyscy je mieć mogą, Czytelnia Niedzielna postanowiła skrócone żywoty świętych podług księdza Skargi podawać. Zaczynamy od świętego Bazylego, gdyż uroczystość jego razem z Obrzezaniem Pańskiém na Nowy Rok przypada.

Święty Bazyli był biskupem w Cezarei, najcięższa mu była z Arjanami wojna, bo Walens cesarz gdy jedne biskupy powyganiał, i stolicę ich Arjanami swemi osadził, drugie bojaźliwe do milczenia, albo przyzwolenia na swe bluźnienia przymusił; żarł się o to, iż widział Bazyliusza na swéj stolicy bezpiecznie siedzącego, i inne posilającego, aby się jego kacerstwem brzydzili. I gdy objeżdżając państwo, a katoliki uciskając, do Cezarei przyjechał ten to Walens, starał się pilnie przez przednich panów swoich, aby Bazyliusza do Ariaństwa pociągali obietnicami, prośbą i pogróżkami. Ale nie trafili na słabego. Modestus starosta, największy nań potem najazd uczynił; przyzwawszy go do siebie, namawiał go do cesarskiéj wiary i posłuszeństwa. Powiedział święty: „Kogo pierwéj i w czém słuchać?“ A na groźby rzekł: „Jeśli mi majętność pobierzesz, nie ubogacisz się, a mnie nie zubożysz. Podobno tych moich wytartych szatek i trochę książek nie potrzebujesz, w których wszystka majętność jest moja. Wygnania się nie boję, bo moja wszystka jest ziemia, albo Boża, na któréj gospodę mam. O męki niedbam, które mnie do pożądanéj śmierci przywiodą. I tym mi dobrze uczynisz, iż mię prędzéj do Boga mego doślesz.“ Na co Modestus rzekł: „Żaden zemną tak bezpiecznie nie mówił.“ A święty powiedział: „Boś na biskupa nie trafił. W innych rzeczach pokorę i cichość pokazujemy; lecz gdy nam kto Bo-

ga i prawdę wydzierać chce, o nikogoż nie dbamy.“

Odniósł Modestus onę rozmowę swoję do Walensa, mówiąc: „Przegraliśmy; ani słowy ani obietnicami, ani groźbami, użyć się nie da.“ Tedy zakazał cesarz, aby mu się więcéj nie przykrzono. Jednak przemogli ludzie złośliwi znowu na niego tego cesarza poburzając, iż się im namówić dał, aby na wygnanie osądzony był Bazyli. I gdy wyrok nań podpisywać chciał, pióro się psowało, raz, drugi raz, aż trzeci raz chcąc pisać, ręka mu zadrżała. A on uczuwszy moc Bożą kartę zdrapał.

Pan Bóg chciał tego okrutnika i drugim cudem upomnieć. Zachorował mu syn, Galetes na imie: pomocy żadnéj nie było, cesarz się frasował i na modlitwie na ziemi leżał; modlić się swoim Arjanom kazał, ale pociechy nie było. Musiał się do tego świętego Bazylego uciec, a sam się go wstydząc, przez inne go do siebie przyciągnął. Mówił mu święty: „Opuść błędy, a kościołów nie prześladuj, a Pan Bóg syna przezemnie uzdrowi.“ Na co przyzwolił cesarz i był uzdrowiony syneczek. Lecz zaś Arjańscy mężowie, serce mało statku mające, zepsowali i odmienili, i gdy ono dziecie fałszerze chrzcili, w ręku ich umarło.

O Grzegorzu Szymańskim.

(Wspomnienie.)

W ziemi Łęczyckiéj, zaraz od granicy Kujawskiéj, we wsi kościelnéj Mazewie, przed dwudziestu jeszcze latami, żył sobie ksiądz proboszcz, po nazwisku Jan Jakubowski. Chociaż był on stary, ale miał czerstwe zdrowie i czarne jak kruk długie włosy. Ksiądz ten miał wielkie zachowanie w duchowieństwie, nosił też na sobie krzyż świetny kanonicki, w który stroił się na odpusty, i długi czas, bo ze dwanaście lat, wybieranym był przez proboszczów Dekanatu Kłodawskiego na dziekana. Ksiądz miał też poszanowanie u obywatelstwa i taką ufność, że w czasach wojennych oddawali mu zebrany grosz do schowania bez żadnych kwitów; miał też poważanie i u ludzi innych wiar, bo nieraz bywało tak, że ewangelicy i żydzi udawali się do niego po radę, a mógł radzić dobrze, bo znał się na ludziach i znał się na prawach duchownych i świeckich. Ale najwięcej zyskał on sobie serca parafianów za to, że troszczył się o ich potrzeby i byt, a najbardziéj samych Mazewiaków, między którymi przebywał lat trzydzieści. Jak przypowieść mówi, że koszula najbliższa ciała, tak i kochany ksiądz już jak ojciec rodzony opiekował się tymi, którzy koło niego byli, czyto o organiście, czy o chłopaku od koni, albo też kuchcie. Wyprowadzał on takich sług na ludzi, kierował nimi, aż z biedy zostawali nawet gospodarzami czynszowemi. Ale też dobierał sobie ksiądz dobrych ludzi, nie lubił próżniaków, ani pijaków, a broń Boże zawadyaków albo złodziei. Pierwszych strofował bardzo i ostro trzymał, bo mu został jeszcze duch żołnierski, od czasu jak służył trochę wojskowo, a drugich wypędzał z domu. I ze wszystkiemi też ludźmi w Mazewie tak samo się obchodził. Kto dobry człowiek, to codzień z księdzem mógł się nagadać i pocieszyć, ale zły człowiek, to go pewnie omijał, bo by go ksiądz nie przywitał jak to miał zwyczaj każdego witać: „A witajcie ojcze, a witajcie matko!“ Każdego chłopa i chłopaka nazywał ojcem, a kobietę znowu i dziewczynę nazywał matką. Każdy co tylko księdza zobaczył przechodzącego, już musiał się ze sumieniem porachować, a jak miał czyste sumienie, to miał najradośniejsze spotkanie. Chociaż ksiądz nieraz wchodził do siakiej takiej chałupy, żeby poradzić, doradzić, pocieszyć albo pomódz, ale prawdziwe było święto dla Mazewiaków, kiedy nastała kolenda na Boże Narodzenie. Wszystkie chałupy ksiądz odwiedzał z organistą Grzegorzem i z dziadkiem kościelnym, głuchym Antonim. Biły serca domowników i twarze się uroczystością pokrywały, kiedy usłyszeli głos organisty w sieni, wyśpiewujący:

Dzieciątko się narodziło
Wszystek świat uweseliło;

Weselmy się, radujmy się na to nowe lato,
Weselmy się, radujmy się na to nowe lato.

Ale nie o tem miałem mówić. Zapuściłem się do kolend i do gadania o księdzu, najdroższym moim opiekunie, z którego łaski nie ja jeden umiem czytać i pisać, a przecież miałem opowiadać o organiście Grzegorzu Szymańskim, o téj chwale ludu Mazewskiego, do-

mowym powierniku księdza proboszcza, o tym Grzegorzu, co go cała wieś słuchała jakby jakiego wodza. Oj! doprawdy, za jego życia gromada Mazewska nie radziła nigdy, nie turbowała się o nic, tylko wszyscy jak dzieci słuchali słowa Grzegorzowego.

Trzeba wam wiedzieć, że ksiądz nie lubił koło siebie chłystków, fircyków miejskich, ani wykpiszów. Jak poznał Grzegorza i przyjął go za organistę, to mu powiedział tak:

— Słuchaj chłopcze, jesteś młody, parafję mam małą, dochodu będziesz miał mało, trzeba żebyś jeszcze coś robił dla pozbycia się próżniactwa, żebyś z próżniactwa nie przelazł do łajdactwa i dop ijaństwa, bobym cię i dnia nie trzymał.

A Grzegórz na to księdzu powiedział:

— Proszę jegomości, ja myślę się tu żenić z Marysią Walerczakówną, tobym tam żył przy ojcach, pomagałbym im w gospodarstwie i pilnowałbym kościoła.

Jak to powiedział, tak go ksiądz zagadał:

— A może czychasz na gospodarstwo po starych, dziewucha może rachuje na twoje dochody. Oboje się może pomylicie, bo gospodarstwo Walerczaka pańszczyzniane, trzeba robić we dworze, a ty także nie wiele zyskasz z parafii, tobyś miał dużo kłopotu, a kościół miałby opuszczenie. Chyba, że już się bardzo kochacie, dodał żartobliwie, tobym nic nie miał przeciw temu.

Grzegorzowi krew jakby trysnęła do policzków tak się zarumienił, uścisnął księdza za nogi i z nieśmiałością wysłowił, że się oboje z Marysią ogniście kochają.

Na cóż szczęściu ludzkiemu przeszkadzać; tam gdzie jest miłość niech się ludzie łączą za błogosławieństwem Bożem. Ksiądz też nie sprzeciwiał się młodym, niedługo ogłosił z ambony zapowiedzie, i powiązał ręce Grzegorza i Marjanny węzłem dozgonnym.

Młodzi po ślubie niedługo się cieszyli szczęściem domowém, bo ojcowie chorowali, trzeba było Marysi wychodzić saméj na pańszczyznę, albo najmować do tego parobka. Grosz się wysupływał z woreczka, coraz bardziéj smutek następował po smutku, aż nastała żałość jedna i druga, bo starzy Walerczakowie pomarli.

Przesmucił się Grzegórz, przepłakała się Marysia, ale nie założyli rąk, tylko pracowali co mieli sił, tym bardziéj że już Grzegorz został gospodarzem, a znał się i na gospodarstwie, bo był synem włościanina.

Nie wynosił się też, ani pysznił że był organistą. Odziewał się w długą granatową sukmanę, nosił po chłopsku długie włosy, chodził w lecie w kapeluszu wiejskim, a na zimę w siwéj baraniéj czapie z kokardami. Poważny strój a czysty, zwracał na niego oczy wszystkich w kościele i w gromadzie. Był sobie chłop nie bardzo duży, ale krzepki, barczysty. Twarz miał wyrazistą, oczy siwe, nos spory, dla którego nie żałował tabaki, usta miał rumiane pod gęstemi wąsami. Koszulę na szyi zawiązywał czerwoną wstążeczką z Marysinego pudełka. Buty nosił z długiemi cholewami, w które chował nogawice od spodni.

Taka nieodrodna dusza, podobała się bardzo chłopom, to też jak się zebrała gromada na jeden Nowy Rok, wybrała Grzegorza na sołtysa. Sołtystwo w każdéj wsi rządowéj jak i w Mazewie, uwalniało gospodarza od pańszczyzny. Odtąd też ukazał się Grzegorz w całéj potędze swojéj. Bronił gromady na wszystkie strony, a kto jéj chciał krzywdę zrobić, to pewnie miał się z pyszna. Jak mu nie starczyło swojego rozumu, to poszedł do księdza, poradził się i występował dopiero niezłomnie. Nikt tam ani zbytniego szarwarku, ani nieodpowiedniego kwaterunku nie mógł zarządzić, bo Grzegorz czytywał pilnie rozporządzenia i wiedział co się komu należy. Czy przyjechał asesor, czy wachmistrz od żandarmów, Grzegorz pewnie i jasno występował w sprawach gromady, nie pochlebiając ani jakiemu ta chłopu, ani samemu miejscowemu wójtowi albo naddzierżawcy.

Dobrze to mieć takiego sołtysa we wsi, bo sam jest gospodarzem, a jak umie dobrze czytać i pisać, to wie jak sobie radzić, to ani siebie ani drugich w biedę i w swary niepotrzebne a z obrazą Boską odbywane, nie wplącze. Żeby teraz żył Szymański, to by się pewno łatwiéj układały w całéj parafii te kontrakty o grunta, bo Grzegorz był sołtysem wcale nie od parady, ale od rady i dla spokoju gromady. Teraz z kolei powiem, jakim był organistą.

Wszyscyście widzieli po parafiach, czy to w mieście, czy na wsi, organistów ubranych z pańska w krótkie surduty, w szuwaksowanych butach i w czapeczkach małych z ry-

delkami na głowie. Wszyscyście słyszeli, że organiści rzadko dobrze śpiewają, że okrutnie przeciągają nuty i wysilają się żeby tony przez nosy im przechodziły, a jak siedzą przy organach, nie bronią kalikantom żeby hałasu miechami w kościele nie robili. Przekonaliście się nieraz, że prawie wszyscy organiści zyski ciągną przy ślubach, pogrzebach, a nawet i przy chrzcinach. Bo też tacy organiści nie z powołania zostali organistami, ale tak sobie, aby z czegoś żyć, boć żyć trzeba.

Ale Grzegórz Szymański to był organista jeden z tysiąca. W kościele nie zmieniał on swojego ubrania chłopskiego, chociaż nieraz i wypadło mu z księdzem jechać do drugiéj parafii. Każdy jednak go uszanował bardzo, nawet inni organiści. Może za oczami dziwowali się oni jego obyczajom, ale w oczy nikt się zadrwić z niego nie ośmielał, bo Grzegórz jakoś tak pewny był siebie, że z góry na wszysskich patrzał. Jak na odpuście założył za pas ręce i przez cmentarz przechodził, to ludzie zdala palcami pokazywali go sobie i gadali:

— A widzisz, tamten co idzie, to organista z Mazewa.

Na odpusty do drugich parafii nie zawsze jeździł z księdzem, czasem mu wypadło i prowadzić kompanją. Szedłem raz z nim do Sławoszewa, to jak zaśpiewał w swoim kościele: „Kto się w opiekę,“ to już nie przestał śpiewać różnych pieśni i litanii, aż do samego miejsca gdzie był odpust. Szedł wtedy za chorągwią na przedzie, trzymał w jednéj ręce kapelusz, a w drugiéj książkę; nie oglądał się na strony i nie wdawał się w rozmowy z nikim.

A kiedy go zaprosili na organy, to tak wygrywał ślicznie pieśni starodawne, i tak ładnie przyśpiewywał, że każdego duszę skruszył do cna. Głos też Pan Bóg dał mu silny i czysty, to mu nie trza było posiłkować się nosem.

W Mazewie, póki stał jeszcze drewniany kościół Po-missjonarski, to grywał na organach, ale jak się ten kościół spalił, a drugi wybudowali, to długi czas nie stać było parafią na organy, i Grzegórz musiał śpiewać bez organów w kościele na głosy. Dobrał sobie chłopów kilku i kilka kobiet, wyuczył ich mszy śpiewanéj i prześliczne się śpiewanie odbywało w kościele. Najdźwięczniejszy głos miała Małgorzata Pilarska, która na kościele przywodziła kobietom tak samo, jak Grzegórz przywodził chłopom na chórze.

Teraz w Mazewie już tych pieśni nie śpiewają, a książki drukowane i pisane po Grzegorzu, gdzieś się zadziały. Mnie najwięcéj szkoda *Gorzkich żalów*, co je Mazewiaki dawniéj śpiewywali w wielki Piątek, bo takich słów i takiéj nuty nigdy nigdzie nie słyszałem.

Jeszcze jedna śliczna rzecz była w Grzegorzu, że się nie kręcił po kościele, nie udawał zakłopotanego, ani śpieszącego się. Jak przechodził z zakrystyi na chór, albo z chóru do zakrystyi, szedł przez kościół poważnie, przed wielkim ołtarzem przyklęknął jak należy, a jeśli wypadło mu zrobić jakieś rozporządzenie, to robił je bez krętaniny, co tém trudniejsze było, że dziadek kościelny Antoni był głuchowaty na oba uszy.

Nie wdawał się też Grzegórz w targi za usługi przy pochowaniu ciał, ani przy ślubach, co mu odmówiła ręka uboga albo skąpa, to mu wynagrodziła ręka hojna. Kolenda dawała mu kilka kóp jaj, z kopę wiązek lnu, orzechów z kilka garncy. Spis ludności w parafii dał mu też kilka kóp zboża; to znowu za wydawanie kartek do konfensjonała, nieśli mu ludzie grosze i jajka, których od samych Mazewiaków wcale nie przyjmował. I wystarczało mu to przy zasługach, jakie odbierał od proboszcza.

Taki brak chciwości, przystępność braterska, przywiązała do niego wszystkich chłopów z parafii, a panowie bardzo cenili jego godność, to też zamiast złotówki albo częstunku gorzałką, nie jeden wolał mu przysłać jakiś podarunek dla gospodarstwa.

Księża znajomi uważali go też za rzetelnego pomocnika w służbie Pańskiéj; szanowali go i nieraz widzieli ludzie i ja sam widziałem, jak Grzegórz w swojéj sukmanie siadywał z nimi za stołem przy obiedzie, albo przy wieczerzy.

—

Czy to już wszystkie zalety Grzegorzowe, że był dobrym sołtysem i dobrym organistą. Jeszcze nie wszystkie, bo jeszcze był dobrym gospodarzem i ojcem rodziny. Doczekał się w ciągu pożycia z Maryanną kilkorga dzieci, najprzód Marcjanny, potem Tomasza, potem Jana, potem Antoniny, nareszcie Mateusza i Katarzyny. Przy życiu swojém pochował

Marcjannę, a reszta dzieci go przeżyła. Znałem ich wszystkich dobrze. Tomka pamiętam już żonatego, pomagającego ojcu w gospodarstwie, pamiętam Jana późniéj ożenionego, na drugiem gospodarstwie. Mateusz uczył się ze mną we wsi Rdutowie u nauczyciela Piotra Sokołowskiego, pod opieką zmarłego niedawno najczcigodniejszego kapłana, księdza Jabłońskiego, a potem uczył się w miasteczku Grabowie. Antoninę wydał ojciec za mąż, za młynarza Kazimierza Żelazińskiego, Katarzyna dopiero po śmierci ojca połączyła się z bogatym młynarzem. Dziś oni rozproszeni po różnych wsiach, smutny mi widok życia robią; śmierć nawet dwojga z nich zabrała.

Ale kiedy ta cała dziatwa była jeszcze w domu, krzątała się koło gospodarstwa i kołowała przy ojcu i matce, jaki to był raj ziemski w domu Grzegorza!.. Dom porządny, z sienią obszerną, z izbą, izdebką i komorą. Na podwórku tarcicami ogrodzoném stała porządna stajenka na trojkę kasztanów i gromadkę owiec, obora na cztery woły i tyleż krów, chlewek na trzódkę świń, w oddaleniu stodoła ze zbożem i kutemi wozami, za nią był stawek na ryby. Od drogi aż do stodoły kwitły drzewa w sadzie, największym po dworskim i po księżym. Pszczoły roiły się w dwudziestu pniach. Wszyscy mieli dostatek, mieli co jeść i co pić, nikt nie płakał na głód, na brak chleba. Odziewek chociaż chłopski, ale mieli wszyscy cały i schludny. Pod okiem Grzegorza i Marjanny wszyscy rośli w zgodzie i miłości, aż dusza się radowała każdemu, kto tylko wszedł między nich do domu.

Dom i rodzina Grzegorza, taki miały na mnie urok, żem niczego w świecie więcéj nie pragnął, jak żyć śród takiéj rodziny.

To też kiedym poszedł do miejskich szkół i ksiądz prefekt zapytał chłopców, czém który chce być, jeden odpowiadał, że chce być jenerałem, drugi że biskupem, trzeci znów że panem, a ja powiedziałem, że chcę być organistą. Moja odpowiedź rozśmieszyła paniczów i zabawiła księdza prefekta, ale i zastanowiła go, dla czego ja chcę być organistą. Kiedym mu dopiero opowiedział, że organista w Mazewie szczęśliwiéj żyje nawet od księdza i przekonałem go o tém, to mi ksiądz prefekt nie miał tego za dzieciństwo, i na pamiątkę mojéj odpowiedzi podarował mi książkę ciekawą. Czym się spodziewał wtedy, że ten sam ksiądz będzie potem proboszczem w Mazewie i będzie błogosławić dzieci organisty?

Grzegorzowa bardzo kochała swoje dzieci, kłopotała się o nie bardzo i pracowała dla nich ile tylko mogła. Ale Grzegorzowa była tylko pomocą Grzegorza, a bez niego nie dała by sobie nigdy rady. Mówiła nawet razu jednego do mojéj matki:

— Czy wiecie Mikołajowa, że jabym chciała żeby mię Bóg zabrał z tego świata przed Grzegorzem, bo ja bym nie przeżyła nigdy jego śmierci.

A moja matka ozwała się do Grzegorzowéj:

— Dalibyście sobie radę Grzegorzowa, przecieżby was Pan Jezus nie opuścił, a ludzie i ksiądz by wam poradzili.

— O nie moi kochani, przemówiła znowu Grzegorzowa, jakby mi Grzegórz umarł, to bym sobie rady nie dała i zeschłabym bez niego na świecie.

I prawdę mówiła Grzegorzowa, bo ona była jak wiele kobiet, co są dobre i pracowite gospodynie i dbające o dzieci przy swoich chłopach, ale jak owdowieją, tracą głowę i nie wiedzą jak sobie począć. Niedługo też doczekała się Grzegorzowa śmierci swojego, bo przed Wielkanocą roku 1838, kiedy jechał z podatkiem do Łęczycy, spadł z konia tak nieszczęśliwie, że się zabił na miejscu.

—

Co się działo w Mazewie, jak słuch o jego śmierci doszedł z Łęczycy, to wam już nie wygadam, tyle było lamentu i płaczu w domu Grzegorza, a smutku na wsi. Na starania księdza dla pociechy Grzegorzowéj i gromady, wydali z Łęczycy ciało i przywieźli je do Mazewa, żeby je pochować na swoim cmentarzu. Pochowali je też we źgle, jak zwyczaj chłopski jest po temu.

Byłem i ja na pogrzebie, syn Grzegorzów Mateusz zastąpił miejsce organisty po swoim ojcu, ale psalmu na eksportacyę nie śpiewał, bo mu płacz przeszkadzał. Spłakałem się z nim razem, i z całą gromadą i z księdzem.

Mateusz został przy miejscowym proboszczu, który go edukował daléj na organistę i płacił za niego nauczyciela do grania na organach, a Katarzynę zaraz wziął w opiekę ojciec chrzestny, ksiądz Kiełczewski z Kłodawy.

Grzegorzowa jak przepowiadała mojéj matce, tak się też stało. Smuciła się, płakała, tęskniła i pół roku nie wyżyła po śmierci Grzegorza.

Gawęda warsztatowa.

O spółce Tellus w Poznańskiem.

—

— Cóż to Franc siedzisz zasępiony dziś jak sowa? zapytał jeden z czeladników swego towarzysza, młodego blondyna rodem z Poznańskiego, który polecony jako zdolny i uczciwy robotnik, od kilku już tygodni pracował w warsztacie p. Stanisława. Przyzwoitem zachowaniem się, pracowitością, usłużnością, koleżeństwem, zyskał on wkrótce przychylność majstra i szczerą przyjaźń towarzyszy. Odsługując swe lata w pruskiéj landwerze stojęcéj garnizonem w prowincyach Nadreńskich, kraju czysto niemieckim, popsuł sobie język, i w mowie zatrącał nieco z cudzoziemska, za co przedrzeźniali go młodzi i lekkomyślniejsi czeladnicy. Gniewało go to mocno, bo z całéj duszy kochał swą rodzinną ziemię, swojski obyczaj, ojczystą mowę. I teraz na zapytanie swego kolegi odrzekł żywo:

— Prosiłem was, abyście nie nazywali mię z niemiecka, ale po polsku: Franciszek, Franek, to mi przecież miléj, bo przypomina owe czasy gdy mię tak matka wołała, kiedym nie wracał długo z pola, gdzie szedłem rano i w południe, niosąc posiłek w dwojakach, dla pracującego od świtu dziadunia.

— Ty zawsze tylko wzdychasz do téj tam wsi, przerwał jeden z czeladzi. I ja jestem synem wiejskich rodziców, ale wsi nie żałuję, bo tam byłbym chłopem, a teraz tu jestem przynajmniéj czeladnikiem, a mogę zostać i majstrem.

— Potrzebni są czeladnicy, potrzebni majstrowie, ale i chłopi są potrzebni na świecie, odrzekł Franek. Zresztą dla mnie ten czas gdym był na wsi, u rodziny, między swemi to najpiękniejsze, najmilsze wspomnienie. Gdy to wszystko przyjdzie na pamięć, łzy mi stają w oczach. Nie dziwcie się więc żalowi memu, bo oto dziś właśnie rocznica jednego z najsmutniejszych wypadków w życiu mojem; temu to wydarzeniu przypisać muszę, żem ze wsi dostał się do miasta, a tam oddano mię na terminatora do krawieckiego majstra, gdziem się też mego fachu wyuczył.

— A i cóż cię zmusiło, żeś wieś opuścił, kiedy ją tak kochasz? zapytał rozpoczynający rozmowę czeladnik.

— Co? poszedłem ze starym dziadkiem, którego ze wsi wypędzili, odrzekł Franek.

— Wypędzili? czy ukradł co, lub popełnił jakie inne przestępstwo?

— Oh! jak możecie tak sądzić... wypędzili, bo nie miał czém zapłacić podatków... bo mu dokuczali sąsiedni niemcy koloniści, chciwi na nasze grunta...

— A to nie było dziedzica, aby starego bronił? u nas by to każdy obywatel zrobił! zawołał jeden z czeladników.

— Nie było dziedzica, bo wtedy już rządzili niemcy... a dobry nasz pan wyszedł z torbami...

— Wyszedł z torbami?! to i jego wypędzili? odezwały się zdziwione głosy.

— Tak, i jego wygnali, wystawiwszy wieś na sprzedaż, co prawnie nazywa się subhastacyą. Długa to i smutna dla mnie historya, dziś właśnie rocznica tego zdarzenia, odparł smętnie Franek.

— Mój drogi Franku, mój Franeczku, opowiedz nam tę historyę, bardzośmy tego ciekawi... wołały zewsząd głosy czeladników.

— Tak, proszę cię, opowiedz nam ją, dołożył przybyły przed chwilą pan Stanisław, z smutnéj téj jak widzę historyi, może być dla niejednego bardzo pożyteczna nauka', a przy opowiadaniu czas nam też jakoś lepiéj zejdzie.

— Kiedy już tak pan majster każe... a moi koledzy pragną usłyszeć o jednym z najsmutniejszych wypadków mego życia, muszę się zgodzić na opowiadanie, ale jeżeli nie będzie ono tak ciekawe, jak sobie wyobrażacie, nie moja w tém wina. Słuchajcież więc! Tu Franek poprawiwszy się na siedzeniu, takową rozpoczął opowieść:

W Póznańskiem nad brzegami rzeki Noteci, co to wśród pięknych niw wesołem płynie korytem, stała niewielka z kilkunastu osady złożona wioseczka Żegocin. Wioska ta była moją wsią rodzinną. Gdym późniéj wzięty do pruskiego wojska, w marszu niemal całe Niemcy przeszedł, gdym stał garnizonem nad sławną rzeką Renem, widziałem bardzo wiele ładnych

i zadziwiających okolic, ale żadna dla mnie nie była tak ładna jak Żegocin. Dla czego? bo to była moja ojczysta wioska! W niéj wszystko mi było drogie, znajome, swoje! U skraju téj wsi, ostatnia w rzędzie, na szczycie pagórka stała nasza chata, opasana wiszniakiem hodowanym ręką samego dziadunia. Ojca niepamiętam... legł on z bracią w ostatniéj wojnie, matka więc zarządzała gospodarstwem przy starym dziaduniu Łukaszku, jak go powszechnie nazywano we wsi. Był on najstarszy w gromadzie; z młodu służył wojskowo, a przez resztę życia uprawiał swój zagon, zasługując się gromadzie radą, bo był z niego człowiek piśmienny i jedyny do interesów. Szanowała go więc gromada, słuchała we wszystkiém, a każdy ze wsi spotykając dziadka Łukaszka, uchylał czapkę przed jego siwizną, pobożnie wymawiając po zdrowienie: „Niech będzie pochwalony!“

Dziadek był w scisłych i ciągłych stosunkach z dworem, ale bo i któż z naszéj wsi w ścisłych stosunkach z dworem nie był? Odtąd jak grunta włościańskie stały się naszą własnością, dziedzic nie zaprzestał opieki, ale po dawnemu, jakby się nic nie zmieniło, zaradzał to pomocą, to zdrowem zdaniem, to nakoniec pociechą, bo i téj nieodmawiano chłopkowi. Dziadek był ulubieńcem dziedzica, z którym pod Napoleonem w wojsku razem służyli. Nazywano dziedzica panem pułkownikiem, a był siwiuteńki jak gołąbek i w miejscu urwanéj nogi, wspierał się na drewnianéj kuli. Żwawy to jednak był staruszek, tak, że w ostatniej potrzebie szedł jeszcze w zawody z młodszymi. Powróciwszy do siebie po kilkoletniéj tułaczce, osmutniały i opadły na siłach, zajął się pan pułkownik gospodarstwem i wychowywaniem jedynéj, jak anioł pięknéj wnuczki. A było nad czém pracować, bo gospodarstwo strasznie upadło. Przemarsze wojska wypróżniły obory i stodoły, a na domiar nieszczęścia, ktoś nieostrożny zapuścił ognia i spalił się cały folwark; tylko dwór stary pozostał wpośród obszernego sadu na czele wioski, jak hetman przed wojskiem stojący. Zafrasował się stary dziedzic niemało, ujrzawszy po powrocie taką pustkę; trzeba było tu i owdzie zapożyczyć się na wzniesienie nowych budowli, napełnienie obór inwentarzem, stodół ziarnem, aby wszystko do dawnego powróciło ładu. Tylko staremu pułkownikowi nie łatwo teraz szła gospodarka... siły mu już niekoniecznie służyć chciały, a pańskie oko konia tuczy, mówi przysłowie i gospodarstwo na wsi potrzebuje doglądu. Nieszczęście też jakieś trzymało się Żegocina; jednego roku deszcz wymoczył, drugiego susza spaliła lub grady wybiły, a nawet raz ku ostatkowi, spokojna Noteć dworskie grunta zalała i zasiewy do szczętu zniszczały. Na dobitkę zjechali pruscy urzędnicy, pola rozmierzali, każdą szczyptę ziemi opisali i z tego wyliczyli niemałą sumkę podatku, który regularnie uiszczać trzeba było, bo w przeciwnym razie urząd zajmował, subhastował, a ty dziedzicu marsz ze wsi z torbami! Dodać do tego muszę, iż pieniędzy obywatelowi w Poznańskiém, dość łatwo było dostać u drobnych spekulantów niemców, za podpisem tylko; lecz za to trzeba było ogromne często płacić procenta, co zjadało nie tylko dochód, ale i wprowadzało dziedzica z długu w dług. Gdy już suma długów znacznie urosła, wtedy panowie niemieccy spekulanci, co to poprzednio byli grzeczni, jak baranki cisi, chętnie pożyczali, naraz stawali się nieubłagani, wymagali wypłaty całéj summy odrazu, a kto nie uczynił im zadość, szła wieś na subhastę, a dziedzic marsz z torbami! W takiem smutném położeniu znajdował się nasz pan pułkownik; przeciągał on swe kłopoty z roku na rok, ale nakoniec w parę lat po powrocie, nastąpił ów wypadek, którego smutną rocznicę właśnie sobie przypominam.

Pamiętam jakby dziś, wieczorem w Niedzielę wrócił dziaduś ze dworu. Był smutny i jakby czemś osłabiony. Parobka i chłopaka wysłał prosić do siebie starszych gromady, a sam chmurny usiadłszy na zydlu, wpatrywał się milcząco w czerwony płomień, który padał mu blaskiem na siwiuteńką głowę i odbijał się w łzie co mu wisiała u powiek. Gdy się już wszystka niemal starszyzna zeszła, dziaduś pozdrowił „Pochwalonym“ i w te niemal odezwał się słowa: „Moi mili gospodarze i ojcowie! źle się u nas dzieje, oto nas Ojciec Niebieski (tu wszyscy pobożnie głowami pochylili) dotyka ręką swoją! Ale niech będzie Jego a nie nasza wola! Polecono mi oto powiedzieć wam, abyście jutro po pracy zebrali się do dworu z gromadą, bo pan pułkownik

chce się z wami raz jeszcze widzieć i pożegnać, nim ten kąt rodzinny opuści na zawsze.“ „A cóż to się stało o mój Chryste! zawołali pospołu sędziwi gospodarze; czy to pan pułkownik zaniemógł?“ „Oj nie, odrzekł dziaduś Łukaszek, ale go już Niemcy do szczętu dogryźli. Wiecie jakiemi klęskami dotknął nas Najwyższy łońskiego i zeszłych lat. Ogień zniszczył folwark. Na odbudowanie, na inwentarz pożyczył pan pułkownik z kassy sierot pieniędzy, a gdy nie miał z czego na czas oddać, dali mu gotówki spekulanci z miasteczka, a między temi znany wam niemiec Tempelhoff. Otóż, w ostatnich czasach ten jegomość wszystkie długi pana pułkownika na siebie przyjął; gdy Żegocin zaległ w podatkach i opłatach, wyjednał subhastę, a podmówiwszy aby nikt nie stanął do licytacyi, nabył wioskę niżéj szacunku, w czém mu niemało urzędnicy pruscy pomogli.“ „O nieszczęście! nieszczęście! nieszczęście! i niemieckiego będziemy mieli pana! a nasz pułkownik, cóż się z nim gołąbeczkiem zrobi?.. a ta jego sierotka? o nieszczęście!“ smutno kiwając głowami, mówił ten i ów ze starszych gromady. „Nad sierotami Bóg czuwa, odrzekł dziaduś Łukaszek, pan pułkownik sierota bez ojczystego dachu, my sieroty bez dobrego pana.“ Długa nastała chwila milczenia i tylko płonące trzeszczało drzewo i tylko płomień migotał czerwony. „Możeby się znalazła jaka rada,“ zauważył jeden z gospodarzy. „Dziś już żadnéj niema rady, bo Żegocin sprzedany, a pan pułkownik zbyt dumny, by kogo miał błagać o pomoc,“ odrzekł Łukaszek. „Ależ on nie odmówi przecież nam gromadzie, któréj tyle dobrodziejstwa świadczył. Przynajmiéj niech na stare nie poniewiera się lata, ze swoją wnuką,“ mówił tenże sam co poprzednio gospodarz. „Oto ja mam uzbieranych sto bitych talarów, całe je oddaję,“ dodał szybko. „I ja dwadzieścia!“ „I ja dziesięć!“ „Pięć!“ „Talara!“ posypały się głosy gromady. Dziadzio Łukaszek milczał i patrzał, a łza duża stoczyła się mu po zmarszczonych policzkach. „Dobrze moi bracia, rzekł nakoniec rozrzewniony, zbierzemy co można, a jutro szczerem sercem ofiarujemy temu, który nas w niejednéj wspierał potrzebie. Bywajcie teraz zdrowi do jutra!“ zakończył Łukaszek, a gospodarze zwolna wysuwali się jeden po drugim z izby, w któréj długo jeszcze, długo siedział stary wpatrując się w migoczący ogień i szepcąc koronkę.

(Dokończenie nastąpi)

Różności.

Prekonizowany w Rzymie przez Ojca Świętego na Arcybiskupa Warszawskiego, ks. Feliński, przyjechał do Warszawy dnia 9 Lutego i objął zarząd Archidyecezyi.

— „Jako rzecz pożyteczna, podajemy tu wiadomość, iż jeden z obywateli powiatu Kieleckiego, zaprenumerował zeszłego roku siedm egzemplarzy Kmiotka, dla karczem we wsiach: Piotrkowice, Piekuszów, Mniów, Ruda Maliniecka, Strupice, Karsznice i Mnichów, rozporządziwszy, aby w każdéj jeden z tych numerów leżał na stole gościnnym, pod odpowiedzialnością karczmarza, jest bowiem przekonanym, iż lud najchętniéj czytać tam będzie i zawsze znajdzie się jaki *piśmienny*, który je ciekawym gościom odczyta, gdy tymczasem niezmiernie trudno sprowadzić włościan do dworu, aby czytania posłuchali.“ My tutaj dodamy, że nietylko w karczmach po wsiach, ale i po miastach i miasteczkach, w szynkach, w bawaryach, należałoby trzymać pisma ludowe. Ludność oświecona ma po restauracyach i cukierniach gazety, dla czegożby w zakładach, do których mniéj oświecona ludność uczęszcza, pisma ludowe były niestosowne? Tą drogą, nie jedna myśl i nauka pożyteczna, przeszłaby do ludu i wydawałaby dobre owoce. Najtrudniejszy jest początek. Obywatel z Kieleckiego wpadł na szczęśliwą myśl i zastosował ją zaraz, a oto dowiadujemy się, że za jego przykładem obywatele powiatu Gostyńskiego, myślą zaprowadzić u siebie podobny zwyczaj, a pod Kaliszem, już do trzech karczem zaprenumerowano pisma ludowe.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80—półrocznie kop. 90—kwartalnie kop. 45—miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra.— Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.— Warszawa dnia 16 Lutego 1862 roku.